Henryk Grynberg

Struganie marchewki

(Z bieżącego pamiętnika)

Ukazało się w kwartalniku artystycznym „Bliza" Nr 2(23) 2015

McLean, 15 VIII 2014

Chłodne, aromatyczne noce i poranki. Już dawno nie miałem tak polskiego lata. Siedzę sobie wieczorami na balkonie i czytam jak na wakacjach, na letnisku bardzo dawno temu. „Traktat o łuskaniu fasoli" Myśliwskiego. Powolna proza, w sam raz na moje samotne wieczory. Nie jest to traktat, wystarczyłoby w tytule „Łuskanie fasoli" jak „Obieranie cebuli" Grassa. Idąc za tą wegetariańską modą, zastanawiam się, czy nie zatytułować mojego bieżącego pamiętnia „Struganie marchewki". Myśliwskiego monolog, który płynie strumieniem świadomości, jest fascynujący i nawet nie razi mnie „staropolska" gawędowość, którą na ogół uważam za kompozycyjną łatwiznę i przejaw staropolskiego lenistwa, bo u Myśliwskiego w tej pozornej łatwiźnie jest metoda. Narracja chodzi w kółko, lecz nie błądzi, nie wymyka się spod kontroli, nie jest linearna, a jednak dokądś zmierza. Dokąd? Do nikąd - jak życie, które jest tematem przewodnim. Jest to wielobarwny przekaz doświadczeń starego człowieka, robotnika, muzyka, samorodnego filozofa, Everymana, a do tego dziecka wojny, które przeżyło pacyfikację porównywalną z Holokaustem. Od filozofii błyskotliwsza i głębsza jest w tym „traktacie" poezja i jeśli to traktat, to raczej poetycki - w pięknym, przenikliwym, wynalazczym języku. Najbardziej wzruszający jest epizod o partyzanckiej sanitariuszce. Niepokalanej, cierpiącej, świętej drobinie piękna, czystości i dobra pośród brzydoty, brudu i zła. Myśliwski jest poetą i dramatopisarzem. Jego monolog jest wprost samograjem na jednego aktora – tylko brać i wybierać.

Dla mnie szczególnie rewelacyjny jest epizod o smakach i konsystencjach wody - twardej i miękkiej, studziennej i rzecznej, źródlanej i deszczowej (s. 214-215) – który przypomniał mi o pierwszej i drugiej wodzie mojego życia, o której już dawno chciałem napisać, ale nie miałem okazji. Otóż najlepsza była pierwsza woda, ze studni na folwarcznym majdanie w Radoszynie. Nigdzie indziej tak dobrej nie piłem. A najgorsza druga, u dziadka i babci w Dobrem, dokąd nas wysiedlono z Radoszyny: lepka, tłustawa, mdława, nie chciałem jej pić. I tu mój żal do autora, zresztą nienowy. Wielokrotnie zaprzeczałem rzekomej „nierozłączności obu kultur", bo z osobistego doświadczenia wiem, jak bardzo od siebie stroniły. Natomiast niezbitym faktem była nierozłączność egzystencjalna, zakończona amputacją, największą i najkrwawszą, jaką sobie można wyobrazić i która nigdy nie przestanie boleć. Swego czasu wypomniałem Myśliwskiemu, że całkiem pominął to wydarzenie w swojej wojennej i powojennej epopei o polskiej wsi „Kamień na kamieniu". Zdawało mi się, że wziął mój zarzut pod uwagę, bo w „Widnokręgu" znalazł miejsce na poboczny drobny epizod o deportacji żydowskiej rodziny. Toteż czytając niniejszą kolejną epikę, czekałem. Bardzo długo, bo aż do 392 stronicy 400-stronicowej opowieści, gdzie spod rękawa nieznajomej kobiety „wyłoniło się kilka cyfr, napisanych na skórze jakby atramentem czy kopiowym ołówkiem". „Ach to z dzieciństwa jeszcze. I zawstydziła się, czy może spłoszyła". „Powinienem tego nie zauważyć, bo nie wszystko powinno się zauważać, zwłaszcza mężczyzna u kobiety – komentuje narrator. „Nie wszystko człowiekowi także w nim samym jest miłe. Nie

ze wszystkim i u siebie się godzimy. Niejedno chcielibyśmy także u siebie poprawić. Ale ponieważ jest to niemożliwe, to przyzna pan, że przynajmniej o tyle jest mniej dotkliwe, o ile tego nie zauważamy".

Nie mogę tego przyznać, ani zgodzić się na tak łatwe i prędkie zasypanie tej wielkiej czarnej dziury. Pacyfikacja wsi przypomina w tej opowieści Holokaust, ale była wydarzeniem sporadycznym i – jak sam narrator zaznacza – sprowokowanym przez partyzantów. Natomiast zagłada żydowskich mieszkańców wszystkich wsi, miast i miasteczek była regułą bez wyjątku i bez prowokacji. Powinien o tym wiedzieć i pamiętać stary narrator, który wszystko wie i pamięta, zwłaszcza że mieszka na skraju partyzanckiego lasu, gdzie z pewnością szukali schronienia Żydzi, gdy na nich polowano (patrz Jan Grabowski „Judenjagd: Polowanie na Żydów 1942-1945"). W dodatku narrator ten jest opiekunem grobów, czyli pamięci, i sumiennie odmalowuje imiona i nazwiska ofiar pacyfikacji na tych grobach. Innych grobów nie zna i nie pamięta. Oto niezbity dowód separacji kultur, pamięci i historii. Obaj pochodzimy z polskiej wojennej prowincji. Myśliwski cztery lata ode mnie starszy, dużo więcej widział, słyszał i rozumiał. Dlaczego nie chce świadczyć? Czy nasza amputacja go tak mało boli?

PS „Łuskanie fasoli" jest precyzyjne jak każda proza Myśliwskiego z jednym wyjątkiem: narrator, który w zatłoczonym pociągu nie może się ruszyć, siedzi najpierw przy oknie (s. 329), potem przy drzwiach (s. 333), a w końcu jednak przy oknie (s. 351).

McLean 29 VIII 2014

W „Ostatnim rozdaniu" znalazłem wzmiankę, że w miasteczku żył kiedyś Chaim Mucha, u którego jeden z protagonistów uczył się szewstwa (s. 123), oraz Samuel Zyskin, który „mądry był Żyd" i „coś przeczuwał", więc w 1938 sprzedał tartak, fabrykę mebli i dom i wyjechał do Palestyny (s. 318). Dziwiono się, że wyjeżdża, bo [Niemcy] „taki kulturalny naród, jak tu nawet przyjdzie, miałby mordować". I to wszysto, jeśli nie liczyć nienazwanej aluzyjnej Żydówki, która „miała coś z południowej urody, czarne włosy, czarne oczy, śniadą cerę, wąski, lekko przygarbiony nos" i „była łagodna, nieśmiała, jakby kryjąca się w sobie przed światem" (s. 234). Nie znaczy to, że autor unika historii, jak to teraz podobno modne. Przeciwnie, martyrologii narodowej w jego opowieści wcale nie brak. „Kokot jako zakładnik został rozstrzelany" (s. 185). Jest czeladnik Stanisław, ranny i okaleczony w partyzantce (tamże). Ciotka, aktorka, która zginęła w powstaniu. Brat, który poszedł na ochotnika na wojnę i zginął (s. 252). Mąż, którego „zamęczono w obozie". Mały chłopiec , który uciekł z domu, żeby wziąć udział w powstaniu (s. 259), a później „nie chciał się uczyć, tylko po ruinach się włóczył" (s. 260). Jest „zdjęcie z czasów wojny" a na nim „rząd powieszonych mężczyzn" (s. 369). Owszem, jest i epizod o zwożeniu trupów nagich kobiet do krematorium (ss. 385-390), ale uniwersalny. Musiały być w ogromnej większości Żydówkami, bo innych tak masowo nie mordowano, lecz tutaj są uniwersalne, bo rozważa się uniwersalne kwestie życia, śmierci, miłości i sztuki, co dodatkowo jest podkreślone w konkluzji: „Ostatnie akty namalowała wojna. A wojnie nikt nie dorówna" (s. 416) i w dopowiedzi: „Siedzisz przed telewizorem, to musiałaś widzieć, powtarzają to nieraz, jak spychacz zwala do dołu stertę martwych aktów" (s. 417). Przytoczyłem ten reportaż filmowy trzydzieści lat temu w konkluzji eseju „Ludzie Żydom zgotowali ten los" (patrz „Prawda nieartystyczna"), dowodząc, że nie wojna wykonała te „akty", lecz Holokaust i że to jemu „nikt nie dorówna", lecz w epice Myśliwskiego do dziś tego słonia nie widać.

McLean, 9 IX 2014

W bieżącym numerze amerykańsko-żydowskiego magazynu „Moment" Konstanty Gebert opowiada, że jego ojciec przybył w 1912 roku do Stanów Zjednoczonych, gdzie od roku 1919 działał jako komunista i został po latach przez władze amerykańskie oskarżony na podstawie ustawy znanej jako *McCarran Act*, „która wymagała od członków Partii Komunistycznej rejestracji, a w niektórych przypadkach zabraniała im wyjazdu z kraju", „powrócił więc do Polski nielegalnie w 1947 roku, wsiadając w Nowym Jorku na polski statek podczas bankietu pożegnalnego i niejako zapominając zejść" i z tego powodu „nie mógł więcej wrócić do Ameryki".

McCarran Act, inaczej *Internal Security Act of 1950, 64 Stat. 987* (*Public Law 81-831*), znany również jako *Subversive Activities Control Act of 1950*, uchwalono - jak jego nazwa wskazuje - w roku 1950. Ojciec Geberta musiał więc być oskarżony z innego paragrafu. Poza tym ustawa McCarrana zabraniała opuszczania kraju nie w niektórych, lecz we wszystkich przypadkach oskarżenia o działalność zmierzającą do obalenia rządu amerykańskiego przemocą. Przypadek Bolesława Geberta musiał być poważny, bo polski statek, który go wykradł - a nazywał się on „Batory" - stracił przez to prawo zawijania do portów Stanów Zjednoczonych i jego pasażerowie lądować w Kanadzie. W internetowym komentarzu historyk Włodzimierz (Vlady) Rozenbaum wyjaśnia, że przeciwko ojcu Geberta prowadzono śledztwo o udział w siatce sowieckiego wywiadu (*Soviet intelligence network*) i że uciekł przed aresztowaniem (patrz http://www.momentmag.com/man-warsaw-konstanty-gebert).

W tejże rozmowie Gebert twierdzi, że jego matka - komunistyczna aktywistka, która w 1939 roku uciekła do Rosji i „wróciła jako żołnierz w sowieckim Wojsku Polskim (*the Polish Army of Soviet Union*) - „przeszło dwa lata siedziała w okopach z karabinem maszynowym (*machine gun*), bardzo skutecznie zabijając Niemców". Otóż „sowieckie Wojsko Polskie" po raz pierwszy znalazło się w akcji 12 października 1943 roku, czyli półtora roku przed końcem wojny. Była to bitwa pod Lenino. „Po kosztownej próbie pod Lenino przez pół roku formowaliśmy uzupełnienia, żeby mieć co pokazać w Polsce, a potem posuwaliśmy się za [sowiecką] ofensywą" - wspomina oficer tegoż wojska Adam Bromberg (patrz H. Grynberg „Memorbuch", W.A.B. 2000, s. 154), wyjaśniając, że był to „długi marsz bez jednego wystrzału". Ofensywa ta zatrzymała się latem 1944 roku na linii Wisły i cztery miesiące odpoczywała. Matka Geberta mogła wtedy się znaleźć w okopach, ale raczej nie „z karabinem maszynowym", bo km powierzano dwóm żołnierzom dość silnym, by go ciągnąć. Za ciężki byłby dla niej nawet rkm (ręczny karabin maszynowy), który nie miał kół i trzeba go było dźwigać. Poza tym jest bardzo wątpliwe, żeby wojsko, którego głównym zadaniem było ustanowienie władzy komunistycznej w Polsce, pozwoliło inteligentnej działaczce komunistycznej z wykształceniem wyższym od żołnierskiego marnować się w okopach, zamiast oświecać (indoktrynować) żołnierzy w randze oficera „oświatowego" (politycznego).

Na pytanie amerykańskiej dziennikarki, czy Żydzi i Polacy rywalizują o to, kto więcej ucierpiał podczas wojny, Gebert odpowiada, że „sama Warszawa straciła w drugiej wojnie światowej więcej ludzi niż którykolwiek z zachodnich aliantów", co może jest prawdą, ale tylko licząc dwieście tysięcy polskich ofiar łącznie z trzystoma-czterystoma tysiącami żydowskich. Podobnie nielogiczna jest jego argumentacja, że „Polacy byli pierwszymi więźniami Auschwitz, przed Żydami polskimi czy francuskimi" i dlatego „jest to strasznie skomplikowna sprawa". Otóż sprawa wcale nie jest skomplikowana, bo Polacy byli pierwszymi więźniami obozu koncentracyjnego Auschwitz I, skąd niekiedy po odbyciu kary ich

zwalnino (przykładem Władysław Bartoszewski), Żydzi zaś byli więźniami uruchomionego dwa lata później obozu śmierci Auschwitz-Birkenau, skąd nie zwolniono nikogo.

McLean, 26-30 IX 2014

„Idąc wieczorem ciemnymi ulicami miasta, spostrzegliśmy oświetlone okna, z których dochodziły głosy przypominające modlitwy.... Gdy zbliżyliśmy się, głosy stały się wyraźniejsze. Zatrzymaliśmy się nasłuchując. Czytano tam głośno pierwszy tom Kapitału Marksa... Czytany tekst był dla nich prawdą objawioną". Działo się to w 1909 roku w Berdyczowie. Autorem wspomnienia jest Jerzy Stempowski w zbiorze esejów „Od Berdyczowa do Lafitów" (Wydawnictwo Czarne 2001, ss. 25 i 27). „Dawna Rzplta zostawiła w tym kraju niezliczone grupy społeczne, narodowościowe, wyznaniowe i zawodowe, każda wydawała się zamknięta w swym języku i obyczaju, bez żadnej więzi i nawet bez bliższego kontaktu z innymi" (tamże s. 21) – dodaje autor, naoczny świadek, zaprzeczając wmawianej nam dzisiaj „nierozłączności kultur".

Studiował historię i medycynę w Monachium, Genewie i Zurychu. Znał języki zachodniej Europy, gdzie spędził większość życia. Miał tam świetne kontakty intelektualne i czuł się jak u siebie w domu. Ze Szwajcarii, gdzie mieszkał, jeździł do powojennych Niemiec, gdzie widział „wyzwolone ofiary hitleryzmu", które nie chciały wracać do swoich ojczyzn. „Żydzi chcą jechać do Palestyny. Nie pomaga na to ani perswazja i obietnice, ani przymus i terror" władz okupacyjnych w Niemczec i Austrii (s. 78). Był obiektywnym obserwatorem. „Wielka Brytania zamknęła dla nich w 1939 roku Palestynę. Gdyby nie to fatalne posunięcie polityków brytyjskich, znaczna część Żydów europejskich byłaby uszła śmierci... Cały zasięg wpływów brytyjskich i amerykańskich był dla Żydów zamknięty. Pozostawały więc tylko kraje małe, o znikomej pojemności, których rządy nie miały odwagi przyjąć na wieczne czasy milionów Żydów, uciekających spod okupacji niemieckiej... Wymordowanie kilku milionów Żydów europejskich było więc współnym dziełem wielkich mocarstw, z których jedno wzięło na siebie rolę myśliwego, inne zaś grały rolę nagonki, pilnującej, aby zwierzyna nie wymknęła się.." (s. 142). Szkoda, że nie wspomniał o mocarstwie, które wpuszczało żydowskich uchodźców i zsyłało ich do zabójczej pracy niewolniczej, gdzie nie wyginęli tylko dzięki niemieckiej inwazji, która zmusiła to mocarstwo do przymierza z Zachodem.

Faszyzm włoski nazywa „władzą prostaków i barbarzyńców" (s. 145), lecz przypomina, że tenże „faszyzm urzeczywistnił najdziksze fantazje futurystów" (s. 188) i że „w czasach Mussoliniego Florencja uważana była za najpewniejszą twierdzę faszyzmu" (s. 150). Czyżby taka sama zdrada przekupnych elit intelektualnych i artystycznych - jak później u nas? W listopadzie 1945 roku widział w Austrii „katalog lwowskiego Ukraińskiego Wydawnictwa, którego nakładem w 1942-1943 ukazało się kilkaset tomów, obejmujących dzieła wszystkich wybitniejszych pisarzy współczesnych, galicyjskich i naddnieprzańskich" (s. 90). W latach 1942-1943! We Włoszech pod władzą faszystów „zarówno pisanie, jak czytanie było sprawą serio. Cenzura zmuszała do wyszukanej stylizacji i stwarzała wiarę w tajemniczą i groźną nawet dla armii i floty – potęgę słów" (s. 166). Co bardzo schlebiało pisarzom - jak później u nas. Z pobytu w Trzeciej Rzeszy w latach 1936-1937 wyniósł wrażenie, że „entuzjazm ogarnął przede wszystkim młodzież". U nas był to nie tyle entuzjazm, co wpajany determinizm, że tak musi być. Natomiast fraza „zapalczywa i doktrynerska młodość" (s. 184) pasuje do nas jak ulał. „Ruch narodowo-socjalistyczny opierał się głównie na młodzieży... „ (s. 223). Podobnie jak komunistyczny. Już w połowie lat dwudziestych zauważył w Niemczech „piętno chuligaństwa politycznego" (s. 51) – też jedno ze

schorzenień młodości. W Polsce przedwojennej ulegała mu młodzież nacjonalistyczna, a w powojennej oportunistyczno-komunistyczna. Stempowski pisze, że „wynalazkiem nowożytnych dyktatorów była deprawacja młodzieży, której z dnia na dzień ofiarowywali prawo życia i śmierci nad starszymi, wykonywane wśród gwałtów i ekscesów. Wystarczało krótkiego czasu, aby oderwać część młodzieży od społeczeństwa, spalić za nią mosty i zrobić z niej grupę wykolejeńców..." (s. 222). Dobrze to wiem, bo o mało nie zostałem jednym z nich. Jest równie celna uwaga bezpośrednio o nas: „Młodzież z Europy Wschodniej poznać można z daleka... pochodzący stamtąd studenci robią wrażenie ludzi znających już życie od strony zagadnień trudnych i zabaw zastrzeżonych dla dorosłych" (s. 394). Zanotował to w 1959 roku na prokomunistycznym Festiwalu Młodzieży i Studentów w Wiedniu. Znałem te „zagadnienia" i brudne „zabawy" z osobistego doświadczenia (i opisywałem w „Życiu ideologicznym"). Gwoździem programu na owym wiedeńskim festiwalu było nasze niezawodne „Mazowsze" - kosztowna fasada, która bardzo się reżymowi opłacała, wywołując na Zachodzie „uczucie komfortu moralnego", bo „gdzie lud umie się tak bawić... nie może być zupełnie źle" (s. 402).

„Proletariat nie mający nic do stracenia prócz kajdanów (sic) istnieje dziś... głównie na obszarach bloku wschodniego" (s. 318) - pisał w tym samym okresie z Niemiec Zachodnich. Mało kto na ówczesnym Zachodzie widział jak on ukryte mechanizmy tak zwanego odprężenia (detente): „Zesłańcy rąbiący lasy wiedzą, że pobyt na dalekiej Północy zawdzięczają popytowi, jaki drzewo sowieckie ma na rynkach Zachodu" (s. 345). Podkreślał dla kontrastu, że „nigdy jeszcze świat zachodni nie cieszył się tak wielką i powszechną zamożnością" (s. 344). A zamożność „demoralizuje", bo ludziom, którzy się dorabiają, dzieło ich rąk „dostarcza satysfakcji nierównie bardziej oczywistych niż posiadanie najpotężniejszej nawet armii i floty" (s. 367). Natomiast ludy bez szans i perspektyw szukają „satysfakcji zastępczych", jak armia, flota, nacjonalizm i „patriotyczne puzony". Przykładem tego była dla Stempowskiego Rosja, gdzie dla większości społeczeństwa życie „bez wódki byłoby nie do zniesienia" (s. 405). Bez wódki i upajającej dumy państwowej. Zarówno wtedy, jak i dziś – dodałby dzisiejszy komentator.

Nie byłby Polakiem, gdyby nie zwrócił uwagi na powojenny niemiecki katzenjammer. „W tępieniu i plądrowaniu krajów okupowanych przez siły zbrojne Trzeciej Rzeszy brała udział tak znaczna ilość osób, że wykrycie ich i ustalenie indywidualnej odpowiedzialności wydaje się rzeczą niemożliwą" (s. 214). Przywołuje dla przykładu dramat Hermanna Mostara z 1947 roku „Meier Helmbrecht", którego akcja „przeniesiona jest do wieków średnich" (s. 223). Bohater przystaje do wędrownych zbójców, którzy mordują, rabują i terroryzują ludność. Aż w końcu chłopi ich pokonują i wykolejeniec staje przed sądem, który go skazuje na śmierć, lecz „ówczesnym zwyczajem darowuje mu życie, kiedy znajduje się młoda dziewczyna gotowa go poślubić" (s. 224) – coś jak w „Krzyżakach" Sienkiewicza. Jednakże przezorny niemiecki sąd każe na wszelki wypadek wykłuć skazańcowi oczy i odrąbać ręce. To jeszcze nie koniec, bo kaleka układa i śpiewa na jarmarkach nostalgiczne pieśni na chwałę raubritterów, które grożą demoralizacją młodzieży, wobec czego chłopi dopadają go i zabijają. Moralitet Mostara był tylko pobożnym życzeniem, bo wielu zbrodniarzy wojennych poślubiła Ameryka, a innych Rosja i nikt im niczego nie odrąbał ani nie wykłuł. Także „Watykan nie odtrącił faszystów i hitlerowców" – zauważył polski obserwator (s. 185). Jako jeden z pierwszych zasygnalizował zbiorową bezkarność zbiorowej zbrodni zbiorowej. Symbolem tego jest dla niego pożydowska dzielnica Amsterdamu, która „stoi pusta, nietknięta, jak gdyby Żydzi mieli tu wrócić. Nieobecność ich jest tu wciąż przytomna, milcząca i krzycząca zarazem... jest najwymowniejszym pomnikiem" (s. 426).

Zwrócił również szczególną uwagę na postfaszystowski „antyhistoryzm" - zjawisko, które powtórzyło się pół wieku później w Polsce i innych krajach zmęczonych komunistyczną „koniecznością historyczną" (z wyjątkiem Rosji). Antyhistoryzm dawał pole do popisu awangardzie, która niemłoda i niemająca nowych pomysłów, zrywała „nie tylko z tradycją, ale, zdawałoby się, z samą sztuką". Przykłady tego wskazuje Stempowski w „procederach artystycznych", jak pop art, happening, environment, miniart (s. 499). „Korzystając ze swej organizacji, awangarda mogła odrzucić pędzle i palety, inaugurując epokę antymalarstwa" (s. 502). Dostało się przy okazji sławom, jak niejaki Christo, który „zapakował już w plastik kilka budynków w Niemczech i w Ameryce" (s. 505) a nawet wielki mistrz popartu Andy Warhol, który z rozbrajającą szczerością wyznał (cytuję za Stempowskim): „Kto chce o mnie wiedzieć, niech patrząc na moje obrazy, filmy, na moją osobę, trzyma się samej powierzchni... [bo] pod spodem nie na nic" (507). „Ubogie i brzydkie przedmioty" uchodzące za dzieła sztuki objeżdżają świat i „są pilnie oczekiwane w „subwencjonowanych lokalach wystawowych", gdzie wprawdzie nikt ich nie ogląda, ale „jak długo mają poparcie finansowe rządów, miast i [zdezorientowanych] milionerów, artyści awangardy mogą obchodzić się bez publiczności" (s. 511.

I jeszcze parę istotnych dla nas uwag. „Całe prawie gestapo i znaczna część SS składały się z Austriaków" (s. 79). "Owidiusz pisał >>Sulmo mihi patria est<< jak Mickiewicz >>Litwo, ojczyzno moja<< (raczej odwrotnie: Mickiewicz jak Owidiusz – HG)", bo wszyscy rzymscy poeci za panowania Augusta pochodzili z prowincji (jak najlepsi poeci polscy) i „większość z nich pozostawała w pamięci wierna swej bliższej ojczyźnie" (s. 351). Ale warto przy tym zapamiętać przestrogę przed naiwną nostalgią: „Gdyby zaproponowano mi nowe życie w skórze robotnika lub chłopa dwudziestolecia, wybrałbym śmierć" (s. 472).

McLean, 11 X 2014

Pierwszy raz byłem w Gdańsku w czerwcu 1945 roku. Z mamą. Jechaliśmy z Łodzi pociągiem całą noc. W Gdańsku jezdnie były dużo szersze niż w Łodzi, z gładkiej kostki a nie kocich łbów, i z wysepkami bezpieczeństwa, jakich nigdy przedtem nie widziałem. Domy nie leżały w gruzach jak w Warszawie, ale stały, puste dosłownie na przestrzał . Jezdnie były uprzątnięte z gruzu i maszerowali po nich marynarze, śpiewając „Morze, nasze morze, wiernie ciebie będziem strzec, będziem strzec..." Weszliśmy do zakładu fryzjerskiego. W fotelu siedział rosyjski oficer. Fryzjer, który go strzygł, dziwił się, że Rosjanie jedzą kartofle z chlebem, a oficer tłumaczył, że od kartofli z chlebem człowiek kriepki i pokazywał rękami, jaki kriepki. Mama kazała mnie podstrzyc i przy okazji sprzedała fryzjerowi i oficerowi parę paczek papierosów, których miała pełną walizkę. Sprzedawała je również kioskarzom i komu się dało. Gdy już wszystkie sprzedała, pojechaliśmy tramwajem zobaczyć morze. Było ciemnosine, pionowe i wysokie, że aż strach było podejść. Dostęp do morza był dosyć wąski, tylko kawałek plaży, uwolnionej od drutów kolczastych. Było słonecznie i ciepło, ale niewiele ludzi i wszyscy w ubraniu, my też. Siedzili lub stali i patrzyli na morze.

Drugi raz przyjechałem do Gdańska pod koniec maja 1951 roku z wycieczką szkolną. Też po całonocnej podróży z Łodzi. W pociągu – jak wspomniałem w „Ciągu dalszym"(Świat Książki 2008) – Miszka całą noc całował Maję, a ja – „nie wiadomo, po co" – Manię. Oba te romanse widać było na statku, którym płynęliśmy po ciemnosinej zatoce. Miszka stoi przy Maji – ona jakby w woalu, bo cień górmego pokładu padł jej na oczy, ale u obu widać uśmieszek takich, którzy coś wiedzą. Mania z czarującym uśmiechem

wspiera się o burtę, na której ja siedzę wychylony w zabroniony sposób i psotliwie roześmiany. I Marysia Kalmus, Mani najbliższa przyjaciółka, zawsze z nami, piąte koło u wozu, z symbolicznie przymkniętymi oczami. Mania i Marysia są w identycznym brązowym sztruksie, Miszka i ja w ciemnych swetrach (mój wojskowy z amerykańskiej paczki), Maja w płowej męskiej koszuli zapiętej po szyję i płowym płóciennym żakiecie. Na czarno-białej fotografii nie widać smutku tej odzieży, tylko radość młodości. W mieście zapamiętałem tylko czarnego Neptuna z widłami jak jasełkowy diabeł i świeżo odbudowany Dwór Artusa, a raczej jego dziwną nazwę, bo zapatrzony byłem na Maję, jak ona ona Miszkę, a Mania na mnie.

Podczas moich sopockich wakacji z matką w 1953 roku i praktyki radiowej we Wrzeszczu latem 1957 roku (patrz „Pamiętnik 2") Gdańsk był chaotycznie załatany jak Wrocław i parę innych zdobycznych miast. Po raz pierwszy przyjrzałem mu się trochę w maju 2012 roku, gdy zwiedzałem Stocznię czyli jego najnowszą historię (tamże), ale prawdziwy Gdańsk zobaczyłem dopiero dziś – na wideo pod tytułem „Album gdański". Prawdziwy Gdańsk miał koronkową architekturę. Wysokie frontony kamienic, ostre katedralne zwieńczenia, misternie rzeźbione, delikatne jak wycinanki. A jakie mnóstwo tego! Oczywiście, że drażniły wojsko spoza granic cywilizacji. Prowokacją była funkcjonalna rozwaga i trwałość rezydencji w estetycznych ogrodach. Wideo starych fotografii jak maszyna czasu przenosi w tamtą bajeczną przeszłość. Bezpowrotną, bo powtórzyć można skromną warszawską Starówkę, ale nie takie majstersztyki.

Film wspomina o żydowskich szkołach, klubach i patrycjuszach, lecz podtytuł „Ślady żydowskie" jest mało istotny a nawet mylący, bo to byli gdańszczanie a nie Żydzi i ta architektura była gdańska a nie żydowska. I nieprawda, że miasto zostało zniszczone „w czasie ofensywy wojsk radzieckich w marcu 1945 roku" – jak podano w komentarzu. Zniszczone, a ściślej spalone, zostało zaraz potem. „Gdańsk zajmowaliśmy ulica za ulicą, dom po domu. Fizylierzy szli pod ścianami, a czołgi upewniały ich ogniem. Zawiesiliśmy biało-czerwona flagę na Dworze Artusa – wciąż jeszcze całym – i zaśpiewaliśmy „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród..." Zrobiono nam zdjęcie, które obiegło wszystkie gazety i trafiło do podręczników szkolnych: sowiecki czołg, na czołgu Malutin, ja i jeszcze dwóch Rosjan, nad nami polski sztandar, a w tle bogaty niemiecki barok – który już następnej nocy podpalili pijani weterani frontu fińskiego. Noc w noc nowe łuny stawały nad zdobytym miastem i ogień dom po domu zjadał najstarszą, najpiękniejszą część miasta" – opowiada Adam Bromberg w moim „Memorbuchu" (W.A.B. 2000, s. 174). „Historia zaliczyła to do zniszczeń wojennych, bo gdzie miała zaliczyć?" – komentuje mój autentyczny narrator, ale maszyna czasu mogła była tę historię skorygować. Miała na to siedemdziesiąt lat.

McLean, 25 X 2014

„Ida" sieje coraz większe spustoszenie. Dostałem właśnie zaproszenie na pokaz w waszyngtońskiej polskiej filmotece. Gdybym poszedł, to musiałbym powiedzieć zachwyconej publice, że są to artystyczne czary-mary o dwóch Żydówkach, dobrej i złej. Zła jest samotną komunistką o nieczystym sumieniu i na domiar złego się puszcza, a dobra czystą, pobożną katoliczką. Zła sama sobie wymierza karę, wyskakując z wysokiego piętra, a dobra się zamyka w klasztorze i mamy bardzo proste rozwiązanie polskiego problemu żydowskiego. O niewiarygodnej fabule - samotna komunistka-prokuratorka nie zabiera z klasztoru dziecka, którego jest jedyną krewną i nawet nie dochodzi morderstwa swojej najbliższej rodziny - pisałem w „Kulturze Liberalnej" i (po angielsku) w aapjstudies oraz „Pamiętniku 2".

McLean, 29 X 2014

W dyrektywach przez atakiem na Rosję Hitler kazał natychmiast zabijać komunistów, jak Żydów, ale komuniści okazali się bardzo przydatni władzom okupacyjnym. Pomagali organizować administrację, uruchamiać produkcję oraz aresztować innych komunistów - którzy podobnie wyrażali chęć współpracy. Ich gorliwe lojałki świetnie się zachowały w archiwach. Nieprawda, że zostawieni na miejscu komuniści organizowali oddziały partyzanckie. Oddziały te przerzucano przez front – przeważnie na spadochronach - z „wielkiej ziemi", a ich głównym zadaniem była likwidacja zdrajców, z których najgroźniejsi byli nie wrogowie klasowi ani miejscowi nacjonaliści, lecz synowie partii i rdzennie rosyjskiej ziemi w Pskowie, Rostowie, Woroneżu i Tule, gdzie już po pierwszej kontrofesywie pod koniec 1941 roku NKWD miało pełne ręce roboty. Wszystkiego tego dowiedziałem wczoraj z wykładu profesora Jeffreya Burdsa w waszyngtońskim Muzeum Holokaustu. Na podstawie nowych materiałów rosyjskich i ukraińskich amerykański historyk stwierdził, że co najmniej jedna trzecia a może nawet dwie trzecie sowieckich komunistów kolaborowało z okupantem. Z zestawów stanu partyjnego wynika, że zaraz po roku 1945 na terenach skażonych okupacją nastąpiła niemal całkowita wymiana nie tylko kadry, ale i szarych szeregów partyjnych. Wszystko to się znajduje w archiwach, które otwarto, gdy „wieczysty" Związek Sowiecki się nagle rozwiązał, i z powrotem przymknięto po roku 2002, gdy do władzy wróciło byłe NKWD.

Czy więc „dokumentalna" powieść Fadiejewa „Młoda Gwardia" jest fikcją? I tak, i nie. Nie, bo możliwe, że jacyś naiwni młodzi ludzie w Krasnodonie próbowali podjąć walkę podziemną. Tak, bo podjęli ją sami, a nie na rozkaz ani pod kierownictwem partii jak w powieści, adaptacjach scenicznych, na filmie i w operze. W Krasnodonie - tak jak w Pskowie, Rostowie, Woroneżu, Tule - donosiciele i oportuniści zastąpili kadrę partyjną wytraconą w czystkach lat trzydziestych, toteż partia zagrała tam pewno taką samą zdradziecką rolę jak gdzie indziej i dlatego krasnodońskich młodych konspiratorów tak prędko ujęto i zakatowano .

Ja należałem do „Młodej Gwardii", która naprawdę powstała i działała z inicjatywy i pod nadzorem partii – to jest partyjnych gorliwców i gorliwczyń w żydowskim domu dziecka w Helenówku pod Łodzią. Byliśmy jeszcze młodsi od krasnodończów: od dziesięciu do szesnastu lat. „Młoda Gwardia" była naszym katechizmem i naszą komunią. Parę lat później dostałem rolę jej głównego bohatera Olega Koszewoja w przedstawieniu szkolnym, które na szczęście się skończyło na próbach (patrz „Ciąg dalszy", Świat Książki 2008), a latem 1952 roku przewodniczącym grupy imienia Olega Koszewoja na ZMP-owskim (komsomolskim) obozie ideologiczno-szkoleniowym w (ponazistowskim Świdwinie). W Łodzi chodziłem do młodzieżowego kina, które się nazywało „Młoda Gwardia". I też zostałem zdradzony. Przez partyjną kierowniczkę domu dziecka, partyjnego dyrektora i partyjne zołzy w żydowskim gimnazjum (patrz „Życie ideoliogiczne"), partyjnego dyrektora i partyjną wychowawczynię w polskim liceum (tamże), partyjniaków Wydziału Dziennikarskiego UW (tamże), a na koniec przez całą partię z towarzyszem Gomółką na czele (patrz „Uchodźcy"). Churchill dowcipnie powiedział, że jego życie nie było *uneventful* (pozbawione wydarzeń). Ciekawe, co by powiedział o moim?